

Mój Kraków



JALU KUREK

Jalu Kurek

MÓJ KRAKÓW

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2026

ISBN: 978-83-68790-25-2

Copyright (C) Ewa Kurek i Grzegorz Kurek

Projekt okładki: Ewa Hajduk

Foto na okładce: krakowski Barbakan pod koniec XIX wieku (pauart.pl)

E-book zgodny z Europejskim Aktem Dostępności EAA

Przypomina mi się pomysłowy wątek z opowiadania Cesare Zavattiniego, spróbuję go strawestować zamiast wstępu. Przychodzę w południe z miasta do domu, dzwonię, otwiera mi drzwi Marylka, nasza pomoc domowa.

– Czy jest pan Kurek? – zapytuję.

– Hi Hi! – parsknęła mi śmiechem w nos i uciekła do kuchni, pozostawiając mnie w otwartych drzwiach. Uważała to pytanie za kawał. Słyszę, jak niesie się od kuchni echo jej zdrowego, niepohamowanego, wiejskiego śmiechu. Do przedpokoju wchodzi żona.

– No, wiesz, szkoda żeś później nie przyszedł. Wszystko wystygło. Myślisz, że nie mamy nic ważniejszego do roboty, jak odgrzewać obiad!

Zginam się uprzejmie w ukłonie, zaczynam najśłodziej, jak umiem:

– Przepraszam, czy mógłbym rozmawiać z panem Kurkiem?

– Nie wygłupiaj się, wchodź prędko, bo zimno wieje z klatki schodowej.

Ukazuje się Ewa, ośmioletnia córeczka, patrzy na mnie, jak gdyby mnie nie poznawała. Stoję przecież u drzwi otwartych z miną wędrownego żebraka. Nigdy nie widziała mnie w takiej roli.

– Mamo, co to?

– Twój tatuś wariata struga. Pewnie się upił.

Boże, i ona – ta mała – rozumiała całą nedorzecznosc sytuacji, zważywszy, iż nigdy w życiu nie skosztowałem kropli wódki.

– No, Jalu, przestań odstawiać ten numer.

– To jakieś nieporozumienie, proszę pani. Naprawdę chciałem zobaczyć się z panem Kurkiem. Z Jalu Kurkiem.

Ciężko przechodzi mi to nazwisko przez gardło. Domownik powiedziały: Z Jalem Kurkiem. Ja tu jestem obcy.

– Czy pan... czyś ty, chłopie, zwariował? Mam telefonować po lekarza? – żona wytrzeszcza oczy, robi tragiczną minę. Przez nie domknięte drzwi pokoju wsuwa się trzyletni Grześ i rozpromieniony woła:

– Jalu!

Serce zamiera mi z tkliwości, przetykam ślinę, trzymam się ostatkiem sił.

– Jalu, wis co? Chodź tu do Jesia – paple mały. Nie mogę patrzeć na niego.

– Raz jeszcze przepraszam panią najmocniej, więc pana Jalu Kurka nie ma w domu?

Ach, szkoda, że go nie zastałem, tak bardzo chciałem z nim porozmawiać. W takim razie przepraszam – cofam się ku schodom.

– Jalu! – w oczach Hanki zalśniły łzy. – Co tobie jest? Co ty wyprawiasz!

– Tysiącrotnie przepraszam panią za kłopot. Tu chyba istotnie zaszło jakieś nieporozumienie – słyszę mój głos, którego nie poznaję; jest obcy, uroczysty, oficjalny, poważny. Odwracam się powoli, stopniowo przyśpieszam kroku, wreszcie zbiegam coraz szybciej po schodach z pierwszego piętra do bramy, żegnany płaczem zbiorowym domowników. Uciekać, uciekać!

A ja naprawdę chciałem rozmawiać z Jalem Kurkiem. Niestety nie zastałem go w domu. Rzeczywistość okazała się silniejsza od moich pragnień.

Urodziłem się w sercu Krakowa, dwa kroki od Rynku, na skraju Plant, w cieniu Uniwersytetu Jagiellońskiego, w atmosferze na pół mistycznej, na pół smutnej. Terror tej atmosfery zaciążył pewnie nieświadomie nad moją wyobraźnią. Ulica, przy której urodziłem się i mieszkałem, nosi dziś nazwę Karola Olszewskiego, znakomitego uczonego, związanego z tym miejscem; dawniej jednak nazywała się Jagiellońską, zapewne na tym odcinku – niesłusznie. Mieliśmy tu bowiem do czynienia z autonomiczną uliczką biegnącą wzdłuż pierścienia Plant – od wylotu Jagiellońskiej do wylotu Wiślniej – łączącą obie te ulice.

Wszystkiego raptem dwa zabudowania: „laboratoria chemiczne c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego” oraz cerkiew greckokatolicka pod wezwaniem świętego Norberta, dziś przemieniona na kościół rzymskokatolicki. Cerkiew miała drugą bramę wchodową od ulicy Wiśnej; w naszym zaś przypadku nazwa ulicy Jagiellońskiej była uzasadniona tym, iż budynek przynależał administracyjnie do całego bloku uniwersyteckiego z tej ulicy, tyle że wejście doń prowadziło od strony „plantacyi miejskich”.

Ojciec – Piotr – był chłopem, pochodził ze wsi Śmigno w parafii Lisia Góra pod Tarnowem, matka – Rozalia – była góralką, przybyła tu ze wsi Naprawa pod Rabką. Oboje poznali się w Krakowie, pożenili i wdążyli w glebę miasta. Syn żywej równiny reprezentował naturę spokojną i uległą; pracowitą. Za to córka silnego szczepu wyżyn wniosła w swoje sprawy domowe żywość, energię, hart i gospodarność górali. W zespole dwojga rodziców z których się wywiodłem, matka stanowiła element mocniejszy, ona nadawała życiu naszemu smak, barwę, sens, kierunek. Było nas czworo rodzeństwa: najstarszy brat – Karol, siostra – Maria, średni brat – Ludwik; ja byłem dzieckiem najmłodszym. Rośliśmy w ciężkich warunkach, w dusznej izbie oświetlanej mdłą lampą gazową. Przez trzydzieści lat mieszkaliśmy w wąskim, głębokim podwórzu, do którego nie dochodziły promienie słońca. Nie było to nawet podwórze, było to stęchłe dno studni obwarowanej z czterech stron ścianami wysokich, starych budowli. Resztki powietrza opadały tam chyba przez pomyłkę lub przez litość. Kobieta z gór i mężczyzna z nizin uwili gniazdo w obcym, niegościnnym miejscu, zapuścili korzenie w wilgoci z tą samą pasją i bohaterstwem, z jakimi w tym samym czasie ich bracia i siostry szorowali z krwi bydłowej posadzki chicagowskich rzeźni czy karczowali puszcze brazylijskie, gruntując przed dziesiątkami lat fundament pod dzisiejszą świetność gospodarczą Nowego Świata. Założyli rodzinę w wielkim mieście, wychowali czworo potomstwa, dali mu wyższe wykształcenie. W tych sferach proletariackiej biedoty kształcenie dzieci było przecież nieosiągalnym luksusem. Stąd szło się tylko „do terminu”, to znaczy na szewca lub do innego rzemiosła, a jedynym i najwyższym dostępnym stopniem inteligentnym była kariera księdza, ponieważ przyszli klerycy znajdowali się już w gimnazjum na utrzymaniu kurii biskupiej. Matka przywędrowała początkowo do miasta jako dziewczyna na służbę; było ich bowiem za wiele chudych, chłopskich córek na paru jałowych, kamienistych, rozkawałkowanych morgach. Ile musiała się napracować jako służąca, ile znieść ofiar i poniżenia! Ojciec przybył tu również ze wsi w poszukiwaniu roboty. Po kilku latach zdobył cel, stał się przedmiotem zazdrości wszystkich mężczyzn z kręgu swojego środowiska: uzyskał stałą państwową posadę. Dochrapał się funkcji woźnego w Zakładzie Chemicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wiadomo, co to oznaczało: pracę zapewnioną do końca życia, gwarantowaną pensję na pierwszego, zabezpieczenie żony, możliwość awansowych szczebelków przy wysłudze lat, przyszłość skromniutką, lecz murowaną. I w cieniu tej czterdziestoletniej posady powstała nasza rodzina.

Za mojego dzieciństwa ciągnęli mieszkańcy wsi do miasta: do kolei, do akcyzy, do szkół, do sądownictwa; bo emerytura. Ach, państwowa posada! Synonim pewności i dobrobytu. Tak więc rodzic mój rozpoczął karierę w mieście jako „prowizoryczny sługa c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego”. Cóż to była za posada, mój Boże! Bida z nędzą, dno proletariackie, kilkadziesiąt koron na miesiąc. Ale nie ma bezrobocia w tej pracy, nie ma przerwy, nie ma przeniesień. Węgiel za darmo, mieszkanko służbowe, nora, bo nora, kurnik oświetlony syczącą lampą gazową, lecz czynszu się zań nie płaci. A po śmierci męża wdowa otrzymuje do końca swych dni emeryturę. Tak się wyraża drobna co prawda, lecz znamienita wdzięczność państwa dla towarzyszkii wiernego pracownika.

Ojcowski zakład spoglądał oknami na Planty – wyniosły pierścień zieloności wyrastający w śródmieściu – i dlatego dzieciństwo moje wykołysały szumiące drzewa. To kołysanie się drzew przyprawiło mnie od lat najwcześniejszych o liryzm, który stał się

nieodłączny od mojej mowy jak wiatr od natury. Wieczorem Planty tonęły w nastrojowym mroku, były bowiem z rzadka oświecane gazowymi latarniami. Co wieczór zapalał je tajemniczy człowiek niosący na wysokim kiju spirytusowy płomień. Latarnie zakreślały wokół siebie nikły krąg słabego żółtego poblasku, reszta leżała w niezbadanej gęstwinie ciemności. Poza szumem stuletnich kasztanów młodość moja była owiana wyziewem chemicznej pracowni. Znałem obszerną salę ćwiczeń, wieczorami nie zaludnioną, pustą, najeżoną szafkami, szklanymi gablotami, rozplywającą się w dziwnych zakamarkach. Kiedy w samotności doświadczałem pierwszych dreszczów tzw. natchnienia, szedłem po kolacji (kolację jadalśmy wcześniej) do ustronnego laboratorium, gdzie modlił się w mroku, paląc fajkę, mój ojciec po ukończeniu sprzątaniasali. Był bardzo pobożny. Po kątach bieleły antyczne gipsowe popiersia; może to byli bogowie greccy, może cesarowie rzymskiego imperium – nie wiem. Tu recytowałem półgłosem nieprzytomne wiersze w obecności kilkuset flaszek napełnionych kwasami. Kiedy już wyfrunęliśmy z Jagiellońskiej ulicy, a zdarzało mi się czasem przechodzić tamtędy, zaglądałem w pamiętne parterowe okna ocienione dzikim winem. Wydawało mi się, że tam, w kwasach, z którymi przeprowadzają ćwiczenia studenci chemii – płynie jeszcze poezja, może ta sama, którą przed kilkunastu laty tchnąłem w setki flaszek. Wtedy nie było tam nikogo, było mroczno, straszno i pusto. Były ściany wieczorem przeraźliwe z milczącymi greckimi torsami, były półki i szafki z batalionami flaszek i był mój modlący się ojciec, pykający fajkę na długim cybuchu.

Później szedłem do matki. Była zapracowana, szorowała podłogę w mieszkaniu, prała. To już nie komuś obcemu pierze w służbie brudy, to robi dla siebie, dla własnego domu. Jak iskra wyższej rasy błyskała w niej wielka miłość macierzyńska, rozumna dojrzałość życiowa. Mówiła: „Nie dojem, nie kupię sobie płaszcz, w starej chustce wylecę na targ z blaszanką po mleko, a dzieci moje będą chodziły do gimnazjum”.

Urodziłem się w roku 1904, w okresie wojny rosyjsko-japońskiej, która zaprzętała żywo umysły Polaków nie tylko pod zaborem carskim, także austriackim i pruskim. Dzień mojego urodzenia: 27 luty; zimowy czas. Istnieje starodawne przekonanie wśród ludu, że dzieci urodzone zimą są zahartowane, odporne na wszelkie życiowe przeciwności.

Wspominam o tym w poemacie *Płomień nad Wisłą*:

Lutowy mróz mnie zrodził
w Krakowie pod Wawelem,
mróz mnie z górami pogodził,
mróz był mi przyjacielem.

Widocznie zostałem tym „nacechowany” na stałe. Zawsze czuję się dobrze w zimnie, nie cierpię natomiast gorąca. Rzeczywiście byłem „mrozoodporny” także w przenośni. Może to pozwoliło mi przetrwać, kiedy inni załamywali się? Poznałem twarde życie wsi, ciemną wegetację proletariackich dołów. Przez trzydzieści lat tuliło mnie do snu ciasne mieszkanie służbowe ojca. Okno naszej izby wpływało w ową szczelnie obudowaną studnię powietrza, o której uprzednio pisałem. Naprzeciwko wznosiła się ściana grekokatolickiej cerkwi. W ścianie tej wybito po latach dziurę i zaszklono; to prymitywne okno uchylało się rzadko kiedy, a zawsze było zasłonięte grubymi firankami. Mieszkała tam wdowa po poprzednim parochu, której syn – łagodny olbrzym – pracował w warsztatach kolejowych na przedmieściu. Wracał do domu późnym wieczorem i po kolacji grał nocą rzewnie na cytrze. Gra rozlegała się niesamowicie w nocnej ciszy przepaścistego podwórca i robiła na mnie wstrząsające wrażenie. Było coś z rozdzierających akordów śmierci w tej jękliwej cytrzaney muzyce. Tak właśnie łkała wieczorami surowa proza realistycznych oficyn, tak z mroku, z wilgoci, z zaduchu wydzierało się w górę marzenie o pięknie, pieśń ściętej głowy. Myślę, że i

moja poezja była w jakiś sposób naturalną konsekwencją tego stanu; była wspinaniem się ku światłu, wołaniem o powietrze.

Dyrektorem I Zakładu Chemicznego UJ, a więc bezpośrednim zwierzchnikiem ojca, był profesor Karol Olszewski, chemik i fizyk, wielkiej miary uczony. W roku 1883 dokonał on wspólnie z prof. Zygmuntem Wróblewskim osiągnięcia naukowego na skalę światową: skroplenia powietrza.

Współpracownik Olszewskiego, a późniejszy szef ojca, prof. Tadeusz Estreicher komunikuje w piśmie do sekretariatu UJ (szło o dowód pracy ojca w Zakładzie Chemicznym): „Byłoby mi trudno zaświadczyć datę dokładną wstąpienia Piotra Kurka do służby. W każdym razie pamiętam, że w ciągu grudnia 1894, przy próbach przygotowawczych do skroplenia argonu, był już w Zakładzie”.

Olszewski był samotnikiem, mieszkał na pierwszym piętrze zakładu od frontu, pod oknami w ogrodzie hodował piękne kwiaty, które stanowiły jego namiętność. Żył w opinii szlachetnego dziwaka, ojciec mój określał go: to dobry człowiek. Pamiętam, wstrząsnęła mną jako chłopcem jego cicha, tajemnicza śmierć w niedzielną noc marcową 1915 roku. Umierał podobno zupełnie świadomie na raka. Były też wersje o jego samobójstwie. Owej śmiertelnej nocy dokładnie notował na kartce objawy nadchodzącego zgonu. Ostatnie słowa brzmiały: „Czuję, że śmierć się zbliża”. Rankiem zastano go martwego. Obsługiwała go żona dozorczy, Majewska, nasza sąsiadka. Opowiadała, iż profesor bał się panicznie wtargnięcia Rosjan do Krakowa, ofensywa rosyjska bowiem znalazła się wówczas w bezpośredniej bliskości miasta.

Cały ten gmach, w którym się urodziłem i w którym umarł Olszewski, nosił w sobie piętno tajemniczości. Była to twierdza zabarykadowana od strony Plant murem z trzema bramami, z których atoli jedna tylko była dostępna. Ruchu żadnego, najwyżej rankiem sunęła tędy drobna gromadka studencka (przeważnie farmaceutki); sąsiedztwo ciche, krzaki plantacyjne, tyły Collegium Novum, kościół „ruski”, ulice Jagiellońska i Gołębia jakby wymarłe, uśpione – czas zatrzymał się tutaj. W niedzielny, wiosenny poranek z okna pierwszego piętra swej twierdzy spoglądał w wysłoneczniony ogród szlachetny dziwak-domator, wielki odkrywca, ateusz i milczek, podziwiający piękne sztamowe róże. Kto wie, czy nie więcej mądrości widział w kwiatach niż w uczonych księgach? Poglaskał mnie parę razy po głowie, może w tym było coś więcej niż łaskawy gest starego zwierzchnika wobec dziecka podwładnego. Dobry człowiek, o którym nic więcej nie wiem.

Z profesorów Zakładu Chemicznego przypominam sobie – poza Olszewskim – nazwiska: Schramm, Bruner, Dziewoński, Estreicher, z asystentów: Leyko, Suknarowski, Drozdowski, Radwański.

Wieś Naprawa pod Rabką nie jest miejscem mojego urodzenia, jak mnie o to wielu posądza. Ale byłbym ostatnim, który by chciał prostować tę drobną nieściskość metrykalną. Jestem raczej dumny, że mają mnie za rodzzonego syna tej wsi, tak silnie Naprawa wrosła w życie moje i w twórczość; legitymuję się nią omal jak świadectwem urodzenia.

To wieś rodzinna mojej matki. Poprzez matkę wieś ta wpłynęła żyłami do mego krwiobiegu. Ona stała się tematem mojej powieści, napisanej w okresie międzywojennym, pt. *Grypa szaleje w Naprawie*.

Matka nie umiała pisać ani czytać, dopiero pod koniec życia nauczyła się jako tako odbierać słowo drukowane w gazecie. Wspominam o tym w wierszu z bolesną dumą i wstydem na poły:

Począłem się z ziemi kamienistej,
z matki, która nie znała łaski pisma.
Nie chciałem wiele: umieć drzeć jak listek
i jak ptak gwizdać.

Powracam zresztą niejednokrotnie do tego motywu:

Kobieto niepiśmienna!
Syn twój wyniknął z barbarzyństwa ciemności,
i powstaje ku światłu,
wybucha zwycięskim płomieniem
mszcząc się za krzywdę pasterki od krów.

Moje pisarstwo wyrosło zapewne z jej tęsknoty. Tak silnie myślała o krzywdzie, jaka była udziałem jej sfery, że w najmłodszym synu zapragnęła zobaczyć mściciela, który wydzwignie się na wyższe piętro pisania, który będzie pisał niejako za nią i za siebie, w dwójnasób powetuje jej braki. Tak się stało. Matka jest ciągle w mojej mowie, wszechobecna w twórczości. Chciałem zawsze, aby była w moich czynach, to chyba jednak nieosiągalne. Nie potrafię wyrwać się z jej przemożnego, nieustannego obsesyjnego kręgu, matka wraca raz po raz na karty moich książek nawet podświadomie, czyli poza kontrolą rygorów twórczych.

Rośliśmy pod gałęzmi dwóch rodzicielskich drzew: podczas gdy ojcowskie, surowe i mocarne, oszczędziło nam swych soków – matczyne, rozchybotane wiatrem, buchające miłością, udzieliło dzieciom swego tchnienia w nadmiarze. Nie trzeba nas było uczyć gorzkości losu; piliśmy ją sami. Żyło nas sześcioro osób z dziewięćdziesięciokoronowej pensji miesięcznej ojca. Nie skarżyliśmy się. A matka? Nic nie mówiła. Zacięła usta i pracowała; mocna i dumna, prawdziwa góralka. A mogła była powiedzieć o sobie: Słuchajcie, życie biło mnie jak psa bez litości. Nikt mi nic nie dał, wszystko wypracowałam własnymi rękami.

Wieczorem ojciec wracał z pracowni, przemierzając podwórko, zgarbiony od noszenia węgla, z dobrotliwym uśmiechem naiwnego dziecka. Oboje z matką nie żyli już wtedy dla siebie, lecz dla swej podrastającej gromadki, której dali życie. Znad blachy kuchennej zawalonej garnkami była pasterka wiejska – obecnie pani tej wielkiej, ciemnej izby – rozdzieliła czworo swoich młodych w różne sprawy świata niby kokosz wywodząca kurczętą na pole, sama w ten sposób wkorzeniając się swą ruchliwą krwią w żywot następnego pokolenia. Tak się stało. Jej czujny umysł i mądre serce przewidziało wszystko. Wiedzieliśmy, że jeżeli nie zrobi się tak, jak ona zechce, będzie źle. Zawsze tak było.

Od dzieciństwa łączył mnie silny związek z Naprawą. Tam zapalało się moje światło. Matka do końca życia nie zerwała wspólnoty z rodzinną wsią, jeździliśmy tam co roku na dwa letnie miesiące wakacyjne, pod stopy Lubonia, pod ścianę puszczy, która już dzisiaj przeredziła się znacznie. Szkoda, że ludzie stamtąd nie są mi już tak bliscy, jak ta ziemia. Kiedy jedziesz przez Naprawę do Zakopanego, zdaje ci się, że każde znajome wzgórze, każdy wąwóz, każdy potok, każdy smrek woła na ciebie: „Zatrzymaj się, stań. Tyś nasz”. Jak gdyby matka wołała cię stamtąd: „Ty jesteś ze mnie, ty stanowisz głos tej ziemi”.

Babka moja naprawska patronowała rodowi Panków i Żegleniów. Miała dwóch mężów, porodziła im coś z ośmiorga dzieci, prawie wszystkie poszły w świat; miejsca na wsi nie było więcej jak dla dwojga jej potomstwa. Chłopak wyemigrował za chlebem do Ameryki, dziewczyny na służbę do Zakopanego i do Krakowa. Z ośmiorga dzieci babki jedynie mojej matce (która wybrała Kraków) udało się doczekać wykształconego potomstwa. Opowiadała mi matka: dwie moje siostry poszły pieszo na posługę kuchenną do Zakopanego. I boso: buty były luksusem. Ja przywędrowałam do Krakowa też pieszo. I boso. Tylko nasz brat Wojtek kupił sobie buty, bo jechał za morze; przecież by go bosego na statek nie puścili. A i tak biedak pecha miał, bo kiedy po dziewięciu latach harówki powrócił do wsi, zgubił w Hamburgu cały swój dorobek wieziony w dwóch kufrach. Przy wylądowaniu bagaż zaginął. I

Wojtek do końca życia żył nadzieją odzyskania utraconego dobytku. Umarł, nie doczekawszy się jego zwrotu.

W Naprawie pozostała nasza ciotka Anna zwana aż do śmierci zdrobniale Hanusią; z nią żyliśmy zawsze najbliżej. Jej chałupa była właśnie naszą coroczną rezydencją podczas wakacji; mieszkała tam samotnie, była bowiem niezamężna. To jej krowę Kawulę pasłem latem na łańcuchu, wodząc ją po trawiastych ścieżkach i miedzach. To z jej lasu nosiłem na opał patyki i chrust. To z jej pola taszczyłem na plecach snopki zżętego zboża do chałupy na strych.

Odkąd pamiętam ciotkę Hanusię, nie spała nigdy w łóżku. Może dlatego, że dwa drewniane łóżka były przeznaczone dla nas, dzieci miasta, które się „kształciły” – rzecz na wsi wówczas nie spotykana – dzieci jej ulubionej siostry, co prawda przyrodniej (matka moja zwała się z domu Panek, ciotka zaś – Żegleń). Spała zawsze na nalepie pieca „chlebowego”, zwinięta w kłębek. Nigdy nie rozbierała się ze spódnic, chociaż i zwlokła ze siebie ze dwie, to jeszcze zostawała w dwóch kieckach. I tak zimą czy latem. Do kościoła szła stale boso – wzorem wszystkich naprawianek – niosąc buty w rękach, wkładała je dopiero przed wejściem do kościoła. Zimą także chodziła boso koło gospodarstwa, nawet po śniegu. Po „suchary” do lasu, na ściółkę, do pola po trawę, z krową na pastwisko, na jarmarki do Rabki, Jordanowa czy Lubnia – stale bez butów. Raz na tydzień piekło się kilka dużych chlebów w piecu; podpłomyki były dziurkowane patykiem. Każdy z nas brał do jedzenia taki podpłomyk, w którym ilość dziurek odpowiadała ilości jego lat. Z jarmarku przynosiła nam ciotka białą plecionkę do zjedzenia. Co za uciecha dla dzieci! Czasem w garnuszku gorącego mleka, które dostawaliśmy do łóżka, znajdowaliśmy jajko na twardo. Tak było w niedzielę. Może od tego czasu polubiłem na całe życie mleko, najsmakowitszy napój mojego podniebienia.

Chodziliśmy podczas wakacji letnich zbierać maliny do wyrębów w „pańskim”, czyli hrabskim lesie, drżeliśmy z obawy, aby nas nie przyłapał „leśny”, który miał zwyczaj wysypywać jagody z garnków na ziemię. Wracaliśmy w naprawskie pielesze prawie po ciemku, ciotka Elżbietka wołała w głos, kiedyśmy przechodzili bukowym lasem: „Uciekajcie, dziki!”. Bo podobno dziki trzymały się w niedalekim ostępie. Tamże zresztą w późniejszych latach – po raz pierwszy i jedyny – spotkałem się oko w oko z dzikiem; tyleż się go przestraszyłem, ile i on mnie, odskoczyliśmy obaj z panicznym lękiem w przeciwną stronę. Elżbietka przepracowała prawie pięćdziesiąt lat w Zakopanem jako renomowana mistrzyni rondla, o którą były się przed sezonem bogate góralki i właścicielki pensjonatów. Wśród gości, którym gotowała obiady pod Giewontem, przewinęli się Sienkiewicz i Paderewski. Temu ostatniemu podawała barszcz czerwony, który mu nadzwyczajnie smakował; przed odjazdem pianista sprezentował kucharce wspaniały na ów czas napiwek: srebrną dziesięciokoronówkę. Umarła w szpitalu w Rabce w 83 roku życia; i tam pochowana. Mając dwanaście lat opuściła dom rodzinny w poszukiwaniu pracy. Pod koniec życia zamieszkała znowu w Naprawie, przenosząc się na starość z powrotem do źródła swojego dzieciństwa, jak to czyni raniony zwierz cofając się w dzikie gąszcze boru. Zajęła opuszczoną chałupinę, której właściciel przed laty wyprowadził się do Zakopanego. Chata była kurna, to znaczy pozbawiona komina, kryta słomą. Tak, tak, tylko w Naprawie można było jeszcze coś takiego znaleźć w roku 1960. Panicznie lękała się burzy z piorunami, aby dach słomiany nie spłonął wraz z domem od piorunowej iskry. Pradawnym wiejskim obyczajem za każdą błyskawicą żegnała się znakiem krzyża i płakała; staruszka zagubiona w atomowym wieku. Miała wiernych dwoje przyjaciół: kurę i kota. Gdy wracała z lasu wlokąc patyki na opał, kura wychodziła w pół drogi naprzeciw niej odprowadzając swą panią do domu. Kiedy gościłem ciotkę w Krakowie, nie chciała pozostać u nas dłużej nad parę godzin ani broń Boże nocować – „bo co tam zrobi moja kura i mój kot? Kto je nakarmi? Muszę

wracać do domu”. Kura już oczekiwała ją pod przystankiem autobusowym. Od dawna chałupy już nie ma; zaorana. Poszła w ziemię, podobnie jak i ciotka.

Nie wiedzieliśmy wtedy – bo i skąd, byliśmy dziećmi – że ta góra, u której stóp mieszkaliśmy, nazywa się Luboń. Po naszymu, po chłopsku, wołano ją Biernatka. Gdyby tak iść lasami przez cały dzień, opowiadano nam, można by zejść na noc do Mszany Dolnej. Ja jednak wiedziałem co innego. Nikt mi tego nie mówił, wysnułem sobie to z własnych przemyśleń. Że gdyby mianowicie iść tą puszcza kilometrami, znajdzie się do miasta, które wyrasta w środku lasu. Ludzi tam nie ma, domy są szklane, kościoły ze złotymi wieżami. I ciągle biją tam dzwony. To miasto Karila, które jeśli ktoś zobaczy, do roku umrze. Nie zobaczyłem nigdy tego miasta. Ale wierzyłem w nie silnie.

Pamiętam wstrząsające wrażenie, jakie uczyniła na mnie noc przed pogrzebem ciotki Hanusi. Przyjechałem z matką do Naprawy. Trumna stała w „świątyni”, czyli w białej izbie, paliły się dokoła niej świece. (Czarną izbę czyli kuchnię nazywano „piekarnią”). Starodawnym, surowym obyczajem zeszedli się z sąsiedztwa mężczyźni oraz kobiety i od wieczora przez noc całą wznosili modły przy trumnie. W pewnym momencie stary, siwy chłop zdmuchnął wszystkie świece i zaintonował „Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny” – pieśń tę odśpiewali zebrani w zupełnej ciemności. Byłem przejęty nastrojem do głębi, drżałem jak liść z uniesienia. Tenże sam przewodnik chóru zapalił ponownie świece przy trumnie, nałożył okulary i począł śpiewać litanie do Wszystkich Świętych. Noc bezchmurna, wysklepiona gwiazdami, mijała w rozpaczliwym, piskliwym lamencie. Oto idzie do ziemi Anna Żegleń, moja najulubieńsza ciotka. Pochowają ją daleko stąd, w glinie parafialnego łętowskiego cmentarza, chałupa jej opustoszeje, zamknięta zacznie butwieć, walić się. Aż rozbierze się ją z belek któregoś roku i pozostanie goła trawa z wyciśniętym na niej piętnem obecności nieboszczki gospodyni. Będą tędy przeganiać bydło, będą się tu pasły krowy, będą tu tracić placki nawozu, które użyżnią łąkę. I będą się procesować sąsiedzi o to pastwisko, na którym ongiś stała chałupa, będą się dopominać o prawo, choć nigdy tego prawa nie mieli. Raz jeszcze buchnie złość i ciemnota chłopska z tego miejsca, które teraz wypełnia po brzegi żarliwy, nasilony zgiełk. Czerwone płomienie świec pełgały w mroku izby, przeplatały się litanie, antyfony, akty strzeliste, ojczenaszki, zdrowaśki. W sieni, obok mizernej stajni, stało nagotowane jedzenie, co chwila ktoś zbliżał się ku niemu, aby odżywić zmęczone gardło. Z samotnej, osieroconej teraz chałupy pod lasem wzbijał się pod firmament żalony śpiew religijny, rozdzierając głęboką ciszę wiejską. Jakiś surowy prasłowiański obrzęd spełniał się na moich oczach, byłem przejęty tym aktem, pierwsza to śmierć, którą oglądałem z bliska.

Z chwilą zgonu ciotki Hanusi w 1925 roku zamknęła się dla mnie księga cudownej przygody naprawskiej.

Skromniutkie gazdostwo ciotczyne objęła w posiadanie jej siostra osiadła stale w Krakowie. Dlatego mieliśmy prawo uważać się za dzieci tej chałupy jako podwójni mieszkańcy: miasta i wsi.

Mieszkanie służbowe, które zajmował ojciec przez ponad czterdzieści lat w Zakładzie Chemicznym, zmieniało się czterokrotnie w obrębie tego samego budynku. Rodzice żyli nadal w kręgu własnych środowisk wiejskich, nie zżyci z nowym tłem, z rodzinami innych woźnych, przedłużając i tu swą odrębną chłopską wegetację, nie znajdując wspólnoty z nowymi przymusowymi sąsiadami.

W aktach personalnych Senatu UJ, w dziale „Pracownicy fizyczni”, przeglądam teczkę z 49 kartami, zatytułowaną: „Kurek Piotr, woźny”.

Urodzony 23 kwietnia 1860 roku w Śmignie, parafia Lisia Góra, koło Tarnowa, syn Jana i Anny z Saków. Wykształcenie: szkoła ludowa (dziś mówimy: podstawowa). Do pracy zawodowej wstąpił w roku 1894. Rubrykę: godność lub zatrudnienie – wypełniano

rozmaicie: służący, pomocniczy sługa, stały sługa, starszy woźny – aż do pomocniczego funkcjonariusza technicznego z obowiązkami laboranta. Wertuję całą litanię biurokratycznych obliczeń, zaliczeń, przeliczeń, wysługi lat w służbie zaborczej, przeszerogowań, przesunięć do wyższych szczebli, stopni płacy, grup uposażeniowych – wieczne utrapienie żony, która użerała się o groszowe zasiłki wyrównawcze w znikomej pensyjce męża, bo musiała do niej co miesiąc dodawać własną zabiegliwość i oszczędność. Na ostatniej, 49 karcie tej biurokratycznej ewidencji widnieje pismo z dnia 1 II 1936 r.: „Do Pana Piotra Kurka, emer. pom. funkcj. technicznego I Zakładu Chem. UJ, o zwrot legitymacji urzędowej i żony z powodu przejścia w stan spoczynku”. Adnotacja z boku: „Legitymację unieważniono i na prośbę Kurka zwrócono mu dn. 7. II. 1936 po zanotowaniu a.a.”. Widocznie ojciec nie chciał rozstać się z legitymacją, pragnął zachować pamiątkę czterdziestoletniej z górą służby. A może komuś tam chciał nią zaimponować, kto wie. Mój Boże!

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI